ROK DRUGI.

№ 4.

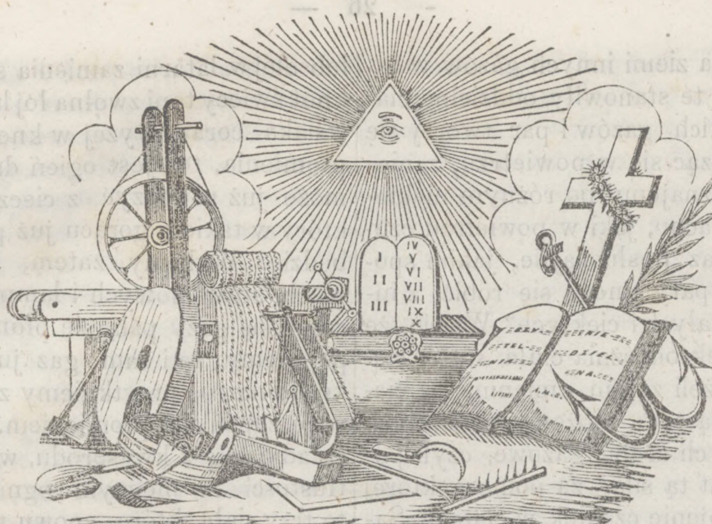
Warszawa

Dnia 13 (25) Stycznia

1857.

Niedziela

3cia po 3ch KRÓLACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wielką jest mądrością, nie działać popędliwie, ani stać upornie przy własnem zdaniu. Do niéj także należy, nie każdego słowom wierzyć, ani rzeczy słyszane natychmiast powtarzać przed innymi. (O naślad. Chr. Ks. 1. Rozd. IV).

O oświetlaniu gazem miast, domów i pomieszkań.

W końcu upłynionego 1856 roku, Warszawa ujrzała nową dogodność dla swych mieszkańców, bo dwie pryncypalne ulice, Nowy Swiat i Krakowskie-Przedmieście zajaśniały daleko żywszém światłem, aniżeli dotąd od zwyczajnych latarni, w których się palił olej; te bowiem ulice oświetlone zostały gazem, który w stosownie urządzonych latarniach, pali się daleko jaśniej od oleju. — Może niejeden z was moi czytelnicy, nie pojmuje należycie, co to jest to palenie się gazu, co jest ów gaz, z czego on się tworzy i t. d. i t. d? — a ciekawość ciągnie was, aby się tego dowiedzieć. Słuchajcie więc rozumowania rożnych ludzi, ktorzy przypatrując się teraz na Krakowskiem-Przedmieściu i Nowym Świecie jasnemu światłu, rozmaicie sobie tłumaczą, po największéj części bardzo fałszywie, to oświetlanie jakimś tam gazem. Chcąc wam podać prawdziwe pojęcie téj nowości u nas, zamierzyłem w niniejszéj gawędce opisać wam naprzód, co to jest zwyczajne palenie się płomieniem, a następnie łatwo zrozumiecie i palenie się gazu.

Otóż wiecie już zapewnie, boście czytali w tém piśmie pod napisem wiadomości z Fizyki, (Ner 43, 44 i inne Czytelni z r. p.) że są rozmaite na ziemi ciała, pod względem spojności ich cząstek; to jest, że drobne cząstki ciał są w jednych bardzo mocno spojone, w drugich są spojone słabo, a są i takie ciała, w których cząstki nietylko żadnego spojenia między sobą nie mają, ale przeciwnie usiłują się jak najbardziéj od siebie oddalić. Pamiętajcie więc, że pierwsze ciała zowią się *stałemi*, jakiemi są: drzewo, kamień, żelazo i t. d., i takie chcąc rozdzielić na cząstki, należy użyć pewnéj siły, jakoto: uderzenia, krajania, piłowania i t. d. Drugie ciała, w których spojenie jest bardzo małe, zowią się *cieczami*, takiemi są: woda, ocet, piwo i t. d., i te łatwo rozdzielać, czyli rozlewać się mogą; trzecie wreszcie, które nie mają żadnéj spojności, ale przeciwnie chcą się od siebie oddalić, zowią się ciałami *powietrznemi*, albo *gazami* i *parami*, takiemi jest powietrze, otaczające ziemię i przeznaczone do oddychania ludzi i zwierząt. Oprócz

powietrza niema na ziemi innych gazów w takiéj obfitości, ażeby te stanowiły oddzielne ciała, lecz wiele z takich gazów i par tworzy się z innych ciał, i unosząc się w powietrzu, zanieczyszczają je, co poznajemy po różnym niekiedy odrażającym zapachu, jaki w powietrzu czujemy. — Otóż teraz posłuchajcie, jakim sposobem owe gazy i pary mogą się robić z innych ciał, to jest stałych i ciekłych? Wiecie, że tylko spojenie cząstek odróżnia ciała *stałe*, *ciecze* i *powietrzne*; jeżeli zatem zmienimy w ciałach spojenie ich cząstek, możemy ze stałych zrobić ciekłe, a z tych zrobić gazowe, czyli powietrzne. Ciepło jest tą siłą, za pomocą któréj możemy zmienić spojenie cząstek w ciałach. Sami to dobrze pojmujecie, że ogrzewając nawet słabo niektóre ciała, topimy je, czyli zamieniamy na ciecze, np. lód trzymając w ręku, otrzymamy z niego wodę, różne tłustości np. masło, łój, słoninę trzymając na ogniu, łatwo je stopimy; inne ciała twarde, jak metale np. cyna, ołów, żelazo, potrzebują wprawdzie większego gorąca, ale stopione być mogą, czyli zamienić się na ciecze. Przypuśćmy teraz, że te ciecze jeszcze mocniéj ogrzewamy, to ciepło w nie wchodząc, coraz bardziéj cząstki ich oddalać będzie, aż nareszcie te do tego stopnia się rozdzielą, że nie będą miały żadnéj spojności.— Cóż się zatem z temi cieczami stanie? — zamienią się na ciała powietrzne, czyli *gazy* i *pary*. Widzicie tego codzienne przykłady na gotującéj się przy ogniu wodzie, która po niejakim czasie, zupełnie zniknie, bo się zamieni na parę niewidzialną, i uniesie się w powietrze; widzicie toż samo zjawisko na zwyczajnym spirytusie, który ogrzewając, zmienimy na parę, a gdy do téj pary spirytusowéj przytkniemy zapalony stoczek, to para łatwo się zapali płomieniem niebieskim, przy którym nawet wodę zagotować można.— Pojmujecie więc już, że parę spirytusu można zapalić płomieniem; teraz zastosujcie toż samo do wielu innych gazów i par, które także płomieniem się palą, a będziecie mieli wyobrażenie o paleniu się różnych ciał, i o ich użyciu do oświetlania. Wszelkie zatem ciała, które w zwyczajnym ogniu mogą się zamienić na jaki gaz zapalny, mogą się palić płomieniem i oświetlać. I tak wszelkie tłustości i żywice do tego celu są najlepszemi, bo one łatwo się topią i zamieniają na gazy; robimy więc z nich świece, palimy w lampach. Zobaczmy teraz, jakim sposobem np. łój lub oléj w latarni zamienia się na gaz? Zapalony knot świecy topi zwolna łój lub stearynę, ta ciecz wsiąka coraz wyżéj w knot, i dochodzi aż do płomienia, tu jest ogień daleko większy, i ten może już utworzyć z cieczy wsiąkniętéj gaz, który w takiem gorącu już palić się płomieniem będzie. Widzimy zatem, że w świecach łojowych, stearynowych i lampach olejowych, tworzące się gazy palą się płomieniem; łatwo teraz pojmiemy, że i sam gaz już gotowy, skoro tylko do niego przytkniemy zapalony stoczek, równie zapali się płomieniem. Wszelkie tłustości składają się z kwasorodu, węgla i wodorodu; te tłustości na mocnym ogniu rozdzielają się na te trzy ciała, które znowu tę mają własność, że będąc blizko siebie, łączą się z sobą w różnych ilościach, i tworzą różne gazy, jakoto: *niedokwas węgla*, *wodoród węglowy*, *wodoród dwu-węglowy*, to jest mający 2 razy więcéj w sobie węgla. Te wszystkie gazy palić się mogą płomieniem, ale niejednakowo jasnym; i tak niedokwas węgla pali się niebiesko, co spostrzegamy przy spodzie płomienia świecy łojowéj lub stearynowéj; wodoród węglowy pali się blado-żółtym płomieniem, który mało daje światła, lecz wodoród dwu-węglowy, pali się płomieniem jasnym, białym, i ten właśnie wszędzie używa się do oświetlania miast; ten właśnie gaz pali się w latarniach, na Nowym-Świecie i Krakowskiem-Przedmieściu ustawionych.

Należy nam teraz powiedzieć cokolwiek o otrzymywaniu tego gazu. Ten gaz znajduje się we wszystkich tłustościach i żywicach, z nich przeto otrzymać go można; lecz wybiera się do tego materyał najtańszy. Dotąd we wszystkich krajach używają węgli kamiennych do otrzymywania gazu. Węgle kamienne już bez wątpienia wszystkim znane, bo w ostatnich czasach tyle upowszechnione do opału zamiast coraz droższego drzewa, zawierają wsobie wiele obcych ciał, a szczególniéj siarkę połączoną z żelazem i materyą żywiczną, którą zowią, *smołą ziemną*. Ta właśnie smoła dostarcza przez wyprażenie węgli w naczyniach zamkniętych, gazu do oświetlenia. W następnych numerach Czytelni podamy obszerniejszy sposób wydobywania gazu, i opiszemy wszelkie przyrządy do téj fabrykacyi potrzebne, tu damy jeszcze niektóre wiadomości tyczące się samego oświetlenia.

Już przed stu laty robiono doświadczenia w celu użycia gazów z wyprażenia węgli ka-

miennych do palenia w lampach, lecz przez lat 50 pozostały one bez skutku; dopiero przed laty 70 we Francyi pierwszy raz urządzono lampy do oświetlania gazem; ale upłynęło lat 30, zanim w tym kraju poczęto robić próby z oświetlaniem niektórych części Paryża. Stolica Angli Londyn już od roku 1812, a zatem od lat 40 oświetlona jest gazem, następnie miasta niemieckie: Hamburg, Brunszwik i inne zaprowadziły u siebie latarnie gazowe, a dziś już wszystkie prawie stolice Europy i miasta znaczniejsze, a szczególniéj we Francyi, Anglii, Belgii i Niemczech, w których są zakłady fabryczne, nietylko ulice, ale i zakłady przemysłowe mają oświetlone gazem.

W Warszawie poraz pierwszy zaprowadził oświetlenie gazem właściciel znakomitéj fabryki odlewów żelaznych, Ewans, jeszcze przed r. 1830, w swym zakładzie przy Ulicy Śto-Jerskiéj, następnie przed 10 laty, oświetlono też gazem okolice Krakowskiego-Przedmieścia przy kolumnie Króla Zygmunta i b. Zamku Królewskiego, tudzież dziedziniec pałacu Kazimirowskiego (Kadeckie Koszary); lecz z powodu wielu niedogodności, wynikających z przewożenia gazu z fabryki na Solcu do wyżéj wspomnianych miejsc, i przelewania go do oddzielnych przyrządów *gazometrami* zwanych, po dwóch latach sposób ten oświetlania zarzucono.

Pomówmy jeszcze o własnościach gazu do oświetlania używanego, tudzież wodorodu węglowego i niedokwasu węgla, które równie się palą płomieniem w czasie gorenia ciał tłustych.

Gaz do oświetlania używany, jest bez koloru, a zatem niewidzialny, jak powietrze nas otaczające; ma zapach mocny, nieprzyjemny, jest cokolwiek lżejszy od powietrza, pali się jasnym płomieniem, jak świeca woskowa. Nie znajduje się gotowy w naturze, i tylko fabrycznie otrzymany być może, jak już wyżéj powiedziano z węgli kamiennych.— Najczystszy gaz i najobficiéj wydają oleje i tłustości zwierzęce, w wielkiem cieple rozkładające się. Gaz z olejów otrzymany wydaje światło prawie dwa razy jaśniejsze, niż gaz z najlepszych węgli, a prawie 3 razy jaśniejsze, jak gaz z zwyczajnych węgli.

Gaz Wodorodny węglowy, czyli mający w swym składzie dwa razy mniéj węgla, jest równie bez koloru, zapach ma słaby, jest prawie dwa razy lżejszy od powietrza. Ten gaz tworzy się w czasie gnicia ciał roślinnych pod wodą, jakoto: w sadzawkach, bagnach i t. d. i z tych miejsc za poruszeniem wydobywa się w kształcie pęcherzyków. Wzruszając szlam na dnie bagna będący, można ten gaz zbierać we flaszkę, napełnioną wodą i zanurzoną otworem w wodzie. Z tego powodu gaz ten zowią jeszcze *gazem błotnistym*. Podobnemu rozkładowi jak materye roślinne, ulegają węgle kamienne, które po wydobyciu z kopalni wydzielają z siebie ten gaz, który zmieszany z powietrzem, tworzy mieszaninę piorunującą. W kopalniach węgli gaz ten jest dla górników niebezpieczny, bo złączony z powietrzem, za zbliżeniem palącéj się lampki górniczéj, gwałtownie wybucha i smutnych wypadków staje się powodem. Dla zapobieżenia podobnemu nieszczęściu, górnicy a szczególniéj angielscy opatrzeni są *w lampki bezpieczeństwa*, które urządził Chemik Devy. W naszych kopalniach węgla kamiennego ten gaz się nie znajduje.

Niedokwas węgla jest także gazem, z ciał tłustych w czasie ich palenia wydobywającym się, sam w powietrzu pali się niebieskim płomieniem, ale nie utrzymuje palenia, bo palące się płomieniem ciała, w tym gazie zanurzone, gasną. Zabija on zwierzęta, a nawet z powietrzem zmieszany, sprawia zawrót głowy, dlatego częste są przypadki uduszenia, gdy zostawiamy w izbach rozżarzone węgle dla ogrzania się; nie jest to zwyczajne *zagorzenie*, które pochodzi od innego gazu wydzielającego się zawsze, jeżeli piec zasuniemy *przed* zupełnem spaleniem się drzewa lub innego opału.

Przygoda kwestarza.

W mieście, którego nazwiska nie powiem,
Nic to albowiem do rzeczy nie przyda,
W mieście— ponieważ zbiór pustek tak zowiem,
W godnem siedlisku i chłopa i żyda:
. . . .
Były trzy karczmy, bram czterech ułomki,
Klasztorów dziewięć, i gdzie niegdzie domki.

Otóż w jednem z podobnych miasteczek, w klasztorze OO. Bernardynów, był znany na całą okolicę braciszek Piotr, kwestarz. — Gdzie się tylko pokazał, tam z nim razem wstępował i dobry humor, i swoboda i wesołość, gdyż troskę umiał osłodzić nadzieją i zdaniem się na Opatrzność, nudę pokonywał wesołością i tysiącem anegdotek, w których opowiada-

niu niezmiernie był biegłym, a przytem wyborną miał pamięć; na cierpienia ciała znał rozmaite skuteczne środki, i tych dobrodziejom klasztoru chętnie udzielał.— „To też brat Piotr nigdy z próżnemi rękoma do klasztoru nie wracał; kwestarska jego bryka zawsze była doskonale zaopatrzoną, bo pomiędzy innemi posiadał szczególny dar wydobycia ofiary dla klasztoru, z tych nawet, którzy do tego najmniejszéj nie mieli chęci, i uchodzili powszechnie za ludzi skąpych i nieużytych.

Jednym z podobnych ludzi był pan Bartłomiéj Mączyński właściciel bardzo ładnéj włości, nieodlegle od owego miasteczka położonéj—Syn cząstkowego szlachcica, puścił się zaraz z młodu na ekonomkę, na któréj wiodło mu się nieźle, bo był, jak to mówią, i obyty i starowny. Lubo po śmierci ojca odziedziczył fortunkę, nie porzucił jednak przez lat jeszcze kilka sytnego ekonomskiego chleba; dopiero gdy sobie uciułał kilka tysięcy, wówczas sprzedał ojcowiznę i za połączony fundusz wziął niezłą dzierżawkę, a że był pilny, trzeźwy, pracowity, więc gospodarstwo szło mu dobrze, i nie jeden tysiączek złotych wszedł do okowanéj skrzynki, przy łóżku jego stojącéj.—Syt chleba, pragnął go podzielić z towarzyszką, a że był i dosyć przystojny i fortuny miał kawał, nietrudno więc było o żonę; i nie jeden ładny buziaczek z sąsiedztwa byłby mu oddał swą rękę. Nasz pan Bartłomiéj nie w ciemię bity, nie szukał bynajmniej w żonie powabów, pragnął tylko kobiety silnéj, zdrowéj, i dobréj przytem gospodyni; a że panna Pulcherja Grossman córka zamożnego młynarza, posiadała żądane przymioty, nie zwłócząc daléj pan Bartłomiéj, oświadczył się o jéj rękę, i został przyjęty.

Śmierć i żona, od Boga, jak mówią, przeznaczona, przynajmniéj widoczne było to przeznaczenie na pp. Bartłomiejach.— Trudno większego podobieństwa w charakterach, jak gdyby się w korcu maku szukali. On był pracowity— ona prześcigała go w pracy; od świtu do nocy na nogach, nie dała ani sobie ani nikomu w domu folgi.—Mąż był oszczędny, żona nie wydała grosza, dopóki go dziesięć razy wprzódy nie obejrzała.—Mąż chodził w półkożuszku lub drylichowym szpancerku, stosownie do pory roku; żona, czy zimą, czy latem, zawsze w jubce z samodziału na domowym warsztacie skleconego.— Nie dziw więc, że przy tych przymiotach wkrótce znakomitej dorobili się fortuny, i wychodząc z dzierżawy, kupili majątek półmiljonowy. Na nowem swem dziedzictwie niewiele się zmienili, owszem zamiłowanie grosza zdawało się z wiekiem w nich wzrastać; dlatego ubodzy lub kwestarze zdala omijali mieszkanie państwa Mączyńskich, bo wiedzieli, że u skąpego zawsze po obiedzie, i który z kwestarzy był tam zajechał, to wyjechał głodny i w nic nieopatrzony.—Jeden tylko brat Piotr stanowił wyjątek; umiał on zawsze wydobyć co z nieużytego dla innych pana Bartłomieja, więc też p. Bartłomiéj bał go się jak ognia, i jak tylko dostrzegł zdala spiczasty kaptur kwestarza, to się albo gdzie schował, albo wyszedł w pole, żeby się nie widzieć z gościem, który go swoją wymową naraził zawsze na jaki wydatek.—Co do żony, ta lepiéj umiała stawić mu czoło, i wymowa jego tyle na niéj skutkowała, co groch rzucany na ścianę— dlatego gdy się nasz kwestarz dowiedział, że pana nie ma w domu, omijał dach niegościnny.

Pewnego dnia pan Bartłomiéj stał właśnie nad traczami, obrabiającymi drzewo do budowli na podwórzu gospodarskiem, pilnując, ażeby się broń Boże który wiór nie uronił; gdy niespodziewanie dostrzegł spiczasty kaptur naszego kwestarza nadjeżdżającego bryczką. Na ten widok dostał nerwowego drżenia, gdyż czuł, że mu tę wizytę kilką baranami przyjdzie opłacić—Z duszy serca byłby drapnął w nogi, ale nie było czasu, gdyż bryka była za blisko, ażeby mógł ujść nie widziany.—W smutnéj téj ostateczności rzucił okiem na około, i dostrzegł wasążek od staréj bryczki, przewrócony dnem do góry; myśl nagła jak błyskawica powstała w jego głowie, by się pod niego schować. Jak tonący chwyta się brzytwy, tak i pan Bartłomiéj uchwycił się téj myśli, która w jego przekonaniu barany ocalić mu miała.—Nie zastanawiając się dłużéj, włazi pod on wasążek, przykazując ludziom, ażeby jak się kwestarz o niego spyta, powiedzieli, że go niema, że wyjechał.

Cała ta czynność mniéj zabrała czasu, aniżeliśmy go na jéj opowiedzenie potrzebowali; pomimo to brat Piotr dostrzegł naszego dorobkowicza, jak lazł pod wasążek i wszystkiego się domyślił— udając wszakże, że nie wie o niczem, zszedł z bryczki, i podszedłszy do robotników roz-

począł z nimi pogawędkę od zwykłego pozdrowienia.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

„Na wieki wieków“ odrzekli—

„Szczęść panie Boże!.“—

„Panie Boże zapłać dobrodziejowi!“

A nie wiecie też moi ludkowie, czy pan jest w domu?

Na zapytanie w ten sposób uczynione, nie wiedzieli, co odpowiedzieć; nie chcieli skłamać, a bali się prawdy powiedzieć, boć byłby ich pan pasłyszał. Wtedy Janek Banasiak, któremu filut patrzył z oczu, podrapawszy się w głowę, rzekł.—

„Niedosłyszałem dobrodzieju, coście to chcieli wiedzieć?“

Kwestarz domyślił się wykrętu, ale nie chcąc ich w kłopot wprawiać, odrzekł:

„Oto, pytałem cię, czy dziedzic jest we dworze?

O! na to— mogę dobrodziejowi powiedzieć, że pana niema tu we dworze.“

Jakto, wyjechał? zapytał kwestarz z uśmiechem.

Tego ja tam nie świadczę, odrzekł zapytany,— to jeno wiem dokumentnie, że pana niema we dworze.

Ha!— to wielka szkoda, ciągnął braciszek — już będzie koło południa, a nie miałem jeszcze nic w ustach; i konie też głodne, miałem nadzieję, że się tutaj popasą, i ja sam że się posilę, że wreszcie co ukwestuję, boć to dziedzic wasz ma wszystkiego podostatkiem: ale kiedy niema pana w domu, to i mnie też niema po co iść do dworu; ot siądę tutaj i odpocznę sobie nieco, i to mówiąc, siadł na znajomym nam wasążku, pod którym leżał wyciągnięty pan Bartłomiej, przeklinając i gościa i swój koncept, bo mu tam było duszno, i niewygodnie. Ale wstyd mu było przy kwestarzu zpod wasążka wyłazić i narazić się i na śmiech i na stratę, przytem miał nadzieję, że ten długo nie zagości.

Tymczasem brat Piotr, usadowiwszy się wygodnie na wasążku, zawołał na woźnicę.

Słuchajno Mateusz!—wsyp tam koniom w opałkę obroku, niech trochę przegryzą, bo się już dzisiaj dobrze zmachały, i przynieś mi tutaj kobiałkę z chlebem, masłem i jajami, boć i nam przekąsić trzeba.

Niebawem Mateusz stanął z kobiałką; brat Piotr wydobył z niéj chleb, masło, oplatankę z wódką,—dalej odliczył 12 jaj, i rzekł do Mateusza: Źleśmy mój kochanku! dzisiaj trafili, pana niema w domu. musim więc sami pomyśleć o naszem śniadaniu. Weźże mi więc przedewszystkiem te 12 jaj, idź do kuchni, i poproś, by ci je ugotować pozwolili.— Ugotujesz je na miękko i przyniesiesz z całym garnkiem, boby inaczej ostygły.—Posłuszny Mateusz wziął jaja i poszedł do kuchni, tymczasem kwestarz wypiwszy lampeczkę anyżówki i zakąsiwszy ją chlebem, oczekiwał powrotu Mateusza, prowadząc gawędkę z obecnymi.

Nie wyszło kwadransa, wraca Mateusz z kipiącym garnkiem i stawia go przed kwestarzem—Wtedy Piotr udając nieukontentowanie, jakżeś ty nieprzytomny, rzecze do Mateusza, żeby też nie przynieść nic do odcedzenia jaj; chceszże, żebym dobywał jaja palcami z ukropu? —A to ja zaraz pobiegnę dobrodzieju!—Nie potrzeba, jakoś sobie poradzimy; ten stary półkoszek posłuży nam za rzeszoto, i to mówiąc, wylewa cały garnek ukropu na wasążek.

W jednéj chwili zmieniła się scena: pan Bartłomiéj, który jak wiecie, leżał ukryty pod wasążkiem, oblany ukropem, zrywa się jak szalony, przewraca wasążek ze wszystkiemi przyborami i wpada na Mateusza, który nie mogąc sobie wypadku wytłumaczyć, wrzeszczy co ma sił.—Diabeł! — diabeł!—Brat Piotr, udający doskonale zdziwienie, „wszelki Duch Pana Boga chwali!— woła — a jegomość dobrodziéj coś tam robił pod wasążkiem?— A mój Boże kochany! com ja też najlepszego zrobił,— a tociem ja dobrodzieja naszego zakonu gorącą wodą oparzył!“

„Nic to, nic to, księże Piotrze!—mówi pan Bartłomiéj; tak to jakiś figiel mnie się uchwycił, ale mnie też za niego Pan Bóg ukarał.— Chodź księżulku! ze mną do dworu na śniadanie, bo twoje widzę, po całem rozleciało się podwórzu, a przecież się i dla klasztoru coś znajdzie“ To mówiąc, wziął księdza Piotra pod rękę i poprowadził go ku dworowi, wpośród stłumionego śmiechu obecnych.

Wypadek ten okazał się nader korzystnym dla klasztoru, gdyż tym razem pan Bartłomiéj brykę kwestarza obficie zaopatrzył, prosząc go jedynie o zachowanie tego zdarzenia w tajemnicy; był korzystnym i dla p. Bartłomieja, gdyż odtąd, czy to z obawy, by się nie stał pośmiewiskiem sąsiadów, czy też że zrozumiał lepiéj, iż skąpstwo do niczego go nie doprowadzi, stał się gościnniejszym i litościwszym dla potrzebujących,

przez co pozyskał życzliwość sąsiedzką, któréj mu dotąd odmawiano, i wstęp do porządnych domów obywatelskich, które dotąd zamknięte dla niego były.

Oby przygoda, którąśmy z prawdziwego zdarzenia tu skreślili, stała się dla podobnych panu Bartłomiéjowi, nauką, że chcąc pozyskać przyjaźń i szacunek u ludzi, nie dosyć jest mieć majątek. lecz że go używać należy na pożytek ludzkości; że mienia, jakie Opatrzność złożyła w ręce nasze jesteśmy czasowymi tylko szafarzami, z którego przyjdzie zdać nam ścisły kiedyś rachunek przed Stwórcą wszech rzeczy. A cóż Mu odpowiemy, gdy nas zapyta: — Cóżeście zrobili z dobrem, jakie wam powierzyłem?

———

Poczciwa Grzegorzowa.

—

Po ukończeniu pensyi, przebywałam jakiś czas w domu bardzo pobożnym i uczciwym, o mil 3 od Warszawy, gdzie mi czas prędko i przyjemnie schodził.—Tam nieraz w towarzystwie starszych, rówiennic i młodszych, wychodziłam na spacer na wieś; bo najlepiéj lubiłam, i do dziś dnia lubię przebywać między ludem.— Chodząc, spotykałam nieraz gromadkę małych dzieci, bawiących się wpiasku na środku drogi—bawiłam się z mniejszemi a ze starszemi gawędziłam, ciesząc się poczciwą ich prostotą.—Często przynosiłam im różne przysmaczki, owoce, i tak je oswoiłam, iż gdy mnie idącą zdaleka ujrzały, biegły na przeciwko wołając, „nasza panienka, nasza panienka,“—Cieszyłam się tém szczerze, i częste z niemi chwile przepędzałam, ucząc ich czasem pacierza, katechizmu, następnie nagradzając je stosownie do ich zasług, a méj możności— Między tylu dziećmi najbardziéj podobały mi się dwie dziewczynki, po 8 lub 9 lat mieć mogące, zawsze czysto, biało ubrane, głowy poczesane, fartuszki, koszulki niepobrudzone, a twarz, ręce, czysto pomyte.—Z niemi zawsze najwięcéj rozmawiałam, gdyż były najroztropniejsze— Pewnego dnia, spotkałam je przed figurą Matki Boskiéj, którą wieńczyły bławatkami, a potem klękły i mówiły pacierz.— Zbliżywszy się do nich spytałam: czy często tak robicie?

—„Co sobota panieneczko! bo w niedzielę to grzech kwiaty zbierać, a w święto każdy się ubiera.“

—Lecz Matka Boska nie potrzebuje się ubierać, rzekłam.

—„Prawda panienko, ale my chcemy, aby ładnie było.“

—A dlaczegóż pacierz mówicie?

—„Prosimy Ją, aby naszą ofiarę przyjęła, i nas miała w swéj opiece.“

--Któż was tego nauczył, spytałam?

—„Matula“— odpowiedziała jedna;

—„Gospodyni“— odrzekła druga,

—Jakto, to wy nie siostry jesteście?

—„Juści nie“— odpowiedziały.

—A dlaczegóż zawsze jesteście jednakowo ubrane?

—„Bo nas razem matula karmili“

—A gdzież twoja matka, rzekłam do dziewczynki obcéj?

—„Ja nie wiem panienko, bom nigdy nie widziała.“

—Chciałabyś ją zobaczyć?

—Jużcić, chciałabym, alebym może teraz z nią nie poszła, bo mi tak dobrze u mojéj gospodyni, jak i Jagusi.“

—A czy kochasz swoję gospodynię, spytałam?

—„Bogać nie, moja panienko; jak raz zachorowali, to tak płakałam i do téj figury chodziłam, prosiłam Matki Boskiéj, aż wyzdrowieli.“

—To za to tak stroisz teraz tę figurę?

—„O! moja panienko, miałam ja ładne wstążeczki czerwone, zrobiłam wieniec z róż polnych, i ubrałam Najświętszą Pannę.— Długo ta korona wisiała, a gdy się zniszczyła, spaliłam, bo tak gospodyni mi kazali.“

Tak mnie te dziewczynki zajęły, iż gawędząc ciągle, towarzystwo swoje zostawiłam, a z niemi weszłam do chałupki.— Zastałam ową gospodynię zajętą przysposobieniem kolacyi.—Pozdrowiłyśmy się wzajem; chciała ona łajać dziewczynki, że zadługo bawiły, ale jéj powiedziałam, że to z mojéj przyczyny, i prosiłam, aby je do mnie czasem przysyłała na katechizm— „Chyba że tak, odpowiedziała, bo bałamucić, próżnować, to nie pozwalam.—Jagusia to moja córka, a Małgosia to obca sierota, którą rodzice umierając polecili méj opiece; więc tak jest u mnie, jak moja; przywiązałam się do dziewczyny, mój także ją lubi, i cieszymy się, że nam ją Bóg zdrowo chowa. Gdy dorosną przy pomocy Boskiéj, razem je podzielimy tem, co mamy“— Dziwnem mi się wydawało to wszystko, co mówiła Grzegorzowa, bo słyszałam nieraz o złych, i nieludzkich kobietach; słyszałam, jak Walkowa dziecko zostawiła cały dzień

w domu bez opieki — jak Maćkowa biła obcą dziewczynkę, głodem morzyła, aż zachorowała, i długo stękając, umarła.—Za to też Bóg karał srogo wyrządzaną krzywdę dzieciom, i kobiety te niczego dorobić się nie mogły, choć pracowały; kiedy przeciwnie Grzegorzowéj Bóg widocznie błogosławił. Grzegorzowie to najpierwéj odrobili robotę u dworu, najpierwéj swoje zboże zasiali, najpierwéj sprzątnęli.— Grzegorzowa najpierwéj len sprzędła, i płótno zrobiła, wybieliła— u niéj najrychlejsze kurczęta, gęsi, u niéj miodu najwięcéj, u niéj najlepsze masło, za które wiele pieniędzy w Warszawie brała, słowem u niéj wszystko dobrze szło, bo pracowita, pobożna, litościwa, w domu zgoda, z mężem się nie kłóci, do karczmy nie chodzą oboje. Gdy idą do Kościoła, pomodlą się szczerze, potem pogawędzą na cmentarzu z kumami, i do domu wracają. Wszyscy ich też kochali, szanowali, i Bóg ich miał w swéj opiece.

Dziewczynki owe dobre, usłużne, chodząc do mnie co piątek, uczyły się katechizmu, szyć i pończochy robić—były tak szczęśliwe, że wszyscy je we dworze lubili.— Przez dwa lata patrzałam na ich wzrost i postępy, ciesząc się niemi prawdziwie.— Wreszcie ojciec mój kazał mi wracać do domu; pożegnawszy więc wszystkich, z prawdziwym żalem i łzą w oku opuściłam miłe dla siebie ustronie.

Przez kilka lat nie byłam tam w tamtych stronach, gdyż dom moich przyjaciół znacznéj uległ zmianie.— Właściciel dóbr przeniósł się do wieczności, żona zaś wydawszy córkę za mąż, u niéj osiadła—majątek różnym zbiegiem okoliczności przeszedł w inne ręce, nie było więc dla mnie żadnego pociągu.— Dziewczynki tylko często bardzo myśl mą zatrudniały, i szczerze chciałam wiedzieć, co się z niemi stało; jednakże ciekawość moję dopiero w zeszłym roku zaspokoiłam.—Przejeżdżając tamtędy, umyślnie się zatrzymałam, aby odwiedzić poczciwą Grzegorzowę.—Zajechałam przed jéj domek, przed którym siedziała młoda kobieta z dzieckiem na ręku.— Pochwaliwszy Pana Boga, spytałam o Grzegorzową.— Na znajomy głos, wybiegła dobra kobieta z izby; odrazu mię poznała, a witając szczerze, w głos się rozpłakała.— Przypomniałam jéj bowiem dom ich państwa dawniejszych, których oni wszyscy tak bardzo kochali, a do innych nie mogli się jeszcze przyzwyczaić.— Przypomniały się jéj lepsze czasy, nasze gawędki, moje nauki z dziewczynkami— przypomniał się jéj mąż, (gdyż była wdową od trzech lat) i tak dalece się roztkliwiła, iż żadnem słowem nie mogłam jéj uspokoić.—Płacz ten powiększył się bardziéj, gdy weszły dwie młode kobiety; jedna z nich była ta sama, która na progu siedziała, a poznawszy mnie nic nie powiedziała, lecz pobiegła po drugą.— Były to moje dziewczynki przed dziesięciu laty znane: jedna tęga, czerwona, dobréj tuszy, z ładnym chłopczykiem na ręku; druga, blada i mizerna. Po wszelkich serdecznych przywitaniach, dowiedziałam się od dobréj Grzegorzowéj, że Jagusia poszła za syna młynarzowego, i dobrze im się powodzi — Małgosia zaś poszła za biednego, uczciwego chłopaka, i że Grzegorzowa będąc wdową, oddała im gospodarstwo, a teraz siedzi przy nich, pracuje razem, i cieszy się ich zgodą. „Już, mówiła, nie wyjdę ztąd, chyba po śmierci, albo gdy mnie Małgosia nie zechce trzymać u siebie“—Na co młoda kobieta rzuciła się jéj do nóg, i zaczęła płakać i prosić, aby tego więcéj nie mówiła, bo się nie chce rozłączać—tém bardziéj, że wszystko, co mam, rzekła to od was moja gospodyni.

Życie téj dobréj familii prawdziwie mię rozrzewniło— a posiedziawszy z godzinę, uściskawszy małe dziecinki, pozdrowiłam ich serdecznie, i odjechałam z myślą, że praca, pobożność, i uczciwość stanowią całe szczęście człowieka.

Pomoc niespodziana.

Było to w końcu listopada; wiatr dął gwałtownie, a niebo pokryte popielatemi chmurami zapowiadało ludziom zbliżającą się zimę.— Jednak i w téj porze ruch był wielki na ulicach warszawskich, i wśród tłumu postrojonych szła staruszka ulicą Senatorską, wymijając przechodzących.—Głowę jéj pokrywał czepek muślinowy, czarną wstążką związany podbrodą, suknię miała na sobie w wielu miejscach połataną, którą przysłaniała chustka wypełzła z koloru zupełnie. Nie było widać łez w jéj oczach, ale wielka boleść malowała się na twarzy, a rozpacz w spojrzeniu. Zatrzymała się staruszka przed pięknym sklepem, w którego oknie duże tafle szkła przystrajały rozmaite roboty kobiece. Wisiały tu hafty, najpiękniejsze sakiewki jedwabne, rękawiczki siatkowe; wszystko

symetrycznie poukładane okazywało ład i gust, jakiemi myśl właściciela pragnęła przywabić oko przechodniów.

Staruszka stała długo naprzeciwko drzwi sklepowych; jéj postać cierpiąca odbijała się w taflach szkła przezroczystego. I tak wahała się, zamyślona, co ma z sobą robić, aż ktoś z idących do sklepu mimowolnie ją wprowadził do środka.

—Zamykaj pani drzwi, tak zimno, tak wieje—wołała panna sklepowa, otulając się szubą axamitną.

—Chwała Bogu nie mamy jeszcze mrozów, odezwała się staruszka z pokorą, i zamknąwszy drzwi, zbliżyła się do panny sklepowéj. Ja tu weszłam z wielką nieśmiałością, mam do sprzedania skarpetki bardzo dobrze zrobione. A wiele par masz pani?

—Jednę tylko.

—Któżby to kupił jednę, najmniéj zrób pani sześć, to kupię.

—Kup pani przez litość.

Goście idą, nie przeszkadzaj pani—i kilka osób wchodzących otworzyło drzwi.

Wyszła staruszka, nie wiedząc, gdzie się obrócić, a idąc ulicą, tak do siebie mówiła: Téj Pani tak ciepło ubranéj jakże zimno być mogło?—mnie tak głowa boli, tak pali. A moja córka tak chora, a moje wnuki zgłodniałe czekają na mnie!

Dlaczego ta pani nie kupiła tych skarpetek, wszak dobrze są zrobione: brzeg równy, żadne oczko niespuszczone, sprzedałabym ich tanio.

Co to pani masz do sprzedania? odezwała się dama idąca za nią.— Skarpetki mam do sprzedania.—A co chcesz za nie, to kupię.—Ile pani łaskawa, proszę prędko, bo moje wnuki z głodu umierają.—Jakto z głodu umierają? Co pani za jedna, gdzie mieszkasz? może wam dopomogę.—A cóż mi dobrodziejko? możesz dopomódz, rzekła staruszka, zalewając się łzami; mam córkę chorą, zięcia pochowałam trzy dni temu, a wierzyciele za długi wszystko zabrali; zostałyśmy same, co mówię same, z czworgiem sierot, które od kilku dni nie jadły nic ciepłego.— No poprowadź mnie do siebie, może to temu jakoś się zaradzi.

Staruszka prowadziła nieznajomą do swojego mieszkania na Stare-Miasto. Czy to tutaj mieszkasz? taka wilgoć, tak ciemno, mówiła owa pani, spuszczając się do suteren, i po kilku wschodach pognilych zeszły na dół do lichéj stancyi, gdzie na ścianach woda kroplami występowała, a zpod desek pognilych w podłodze widać było golą ziemię.

Całem umeblowaniem tego pokoju było stare łóżko, na którem leżała chora kobieta z oczyma w jeden punkt wlepionemi, usta jéj były otwarte, rozpalone od gorączki, a ręce złożone, jakby do modlitwy trzymała ściśnione; tylko chwilami słabe jęki wydobywały się z ust otwartych. W końcu łóżka siedziało czworo dzieci, które za otworzeniem się drzwi zerwały się razem, wołając: babciu! babciu chleba! Biedna kobieta rozpłakała się, mówiąc: nie mam dla was chleba.Nie płacz pani,rzekła nieznajoma,oto masz dwa złote za skarpetki, i cztery złote na bawełnę, rób więcéj skarpetek, to ja zawsze kupię, tymczasem uspokójcie się. ja wrócę niedługo.

W godzinę potem ogień palił się na kominie, kasza gotowała się w garnku, a dzieci radośnie spoglądały.— Wtem otworzyły się drzwi, i weszła owa nieznajoma z doktorem.

Doktór przystąpił do choréj, zbadał puls i zadecydował, że chora musi iść do szpitala. — ,,Kiedy my nie mamy czem zapłacić panie doktorze! odezwała się staruszka.“ Doktor wyjął kawałek papieru, coś napisał na nim i rzekł, oddając.—Idź pani z tem prosto do szpitala. Oto masz na dorożkę.—Ale jakże się dzieci zostaną?—To ja popilnuję, rzekła nieznajoma.

To powiedziawszy, obwinęli chorą w kołdrę i wyprowadzili do dorożki. Zacna pani zostawiła jeszcze kilka rubli dla dzieci, a sama udała się do zakładu św. Marty, gdzie ją podobnie chwalebne zatrudnienie czekało.

W miesiąc po opisanych wypadkach córka wróciła ze szpitala: zdrowie wróciło chęć do pracy, za resztę pieniędzy, co zostało od żywności staruszka kupiła bawełny i ciągle robiła skarpetki, a owa dobroczynna pani płacąc jéj za roboty, dawała możność uczciwego zarobku. Za powrotem córki znalazły się i inne miłosierne osoby, które za przykładem owéj zacnéj pani, wspierały biedną rodzinę, i tym sposobem polepszyły byt nietylko matki i córki, ale i wnucząt, owych biednych istot, którešmy na barłogu prawie, w ciemnéj i wilgotnéj izdebce na Starem-Mieście widzieli.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 10 (22) stycznia 1857 r.—Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.